LEON LAFAGE.

W Syberji.

Weszli do tej rosyjskiej karczmy, pełnej wspomnień o latach na wygnaniu. On, siwy na skroniach, opierał się na ramieniu młodej kobiety o twarzy z jasnego bronzu, okolonej włosami jak heban czarnemi i oczach zlekka zwężonych. Usiadł z trudem, z wysiłkiem również unosząc niewielką swą głowę, niby ciężar nad siły i czekał na wódkę.

— To Missułow — objaśnił mnie dawny oficer moskiewski: skazaniec polityczny z czasów caratu, z którym bolszewicy nie lepiej się obeszli. Zemknął pewnego dnia z rejonu strzeżonego do Syberji Centralnej, ażeby żyć z traperami w lepiankach z ziemi i śniegu w temperaturze 45 st. niżej zera. Banici, dezerterzy różnych warstw społecznych, zbrodniarze - recydywiści zaludniali tę upośledzoną od natury okolicę. Są tam, dla tych, którym ziemia zaciasna, olbrzymie, niewyeksploatowane lasy, pełne dzikiego zwierza — niedźwiedzi, wilków, lisów i gronostai — których skóra sprzedaje się na wagę złota.

Missułow poszedł na naukę do traperów Zdrów i silny stał się niebawem jednym z najwytrawniejszych i najzręczniejszych łowców niedźwiedzi.

Wielcy kupcy futer wiedzieli do kogo się zwrócić po najpiękniejsze skóry. Niektórzy przedsiębiorcy bowiem nie czekali zwykle przybycia traperów na rynki mongolskie. Udawali się saniami, eskortowanemi przez służbę, uzbrojoną w pistolety i noże myśliwskie aż do samych chat tych wyjętych z pod prawa ludzi.

Tak właśnie robił słynny Lichtikahn, którego firma znaną była przed wojną w Londynie i Paryżu. Ten był najmilej ze wszystkich widziany przez traperów, towarzyszyła mu bowiem zawsze w wyprawach handlowych „jego siostrzenica" jak się wyrażano. Piękność ta miejska o cerze brzoskwini w obramowaniu wilczury, pozostawiała nieco słodkiego ciepła po sobie w tych od Boga zapomnianych przestrzeniach, gdzie zrzadka tylko spotkać można było kobietę równie prostą i ordynarną jak jej towarzysz.

Zdarzało się też nieraz, że po bytności Nataszy niektórzy traperzy rzucali lasy, narażając się na niewolę lub śmierć nawet, byle ujrzeć „izby" z lipowego drzewa w pobliżu brzęczących uli i uśmiechające się z poza jaskrawych fularów twarze kobiece.

Z pomiędzy tylu wisielców kupiec i jego siostrzenica wyróżniali Missułowa, owego, który ongiś brał udział pono w ucztach i balach dworskich, dziś zaś z artyzmem umiał zachwalać, ton, barwę, długość i połysk futer, opowiadając przytem słuchającej go z płomieniem w oczach Nataszy o niebezpiecznych swych, na śmierć i życie, walkach w syberyjskich lasach, sam na sam z dzikim zwierzem i psami swojemi.

Po jednej takiej bytności kupca Lichtikahna ze swą siostrzenicą, Missułow nie mógł już usunąć Nataszy z serca swego i duszy.

Trawiony bezmierną tęsknotą i pragnąc niepowszednią zdobycz przynieść jej następnym razem w ofierze, wybrał się na łowy, które na długie lata pozostały w pamięci traperów. Oddawna był już na tropie olbrzymiego niedźwiedzia, bestji silnej i przebiegłej, która zwietrzyć umiała każdą zasadzkę i której nikt z traperów nie ośmielił się dotychczas stawić czoła z nożem w ręku.

Oto w jaki sposób traperzy syberyjscy zabierają się do tego, aby zmierzyć się z upatrzonym niedźwiedziem. Kładą się w śniegu, leżąc bez ruchu na śladach uprzednio wytropionych. Zwierzę zbliża się niebawem swym kołyszącym się, muskularnym krokiem, węszy ciało, nasłuchuje i rusza je z miejsca. Z pobliskiej kryjówki wyskakują wówczas specjalnie do takich napadów wytresowane psy, rzucają się na niedźwiedzia, wpijając swe kły w tylny jego kadłub. Zwierze, rozwścieczone, odwraca się z rykiem, podczas gdy myśliwy, który nawpół otwartem okiem upatrzył miejsce na cios, wbija z dołu do góry swój nóż myśliwski, zwany kindżałem, w serce bestji.

Ile trzeba na to zręczności i przytomności umysłu, żeby w porę uniknąć śmierci!

Missułow tak właśnie czekał na swego niedźwiedzia. Był akurat na czatach, kiedy kupiec mongolski, wyprzedzając o kilka dni sezon, stanął przed jego lepianką ze swą siostrzenicą, służbą i saukami.

Wasyl, towarzysz Missułowa, zapewnił, że traper zjawi się niebawem ze swą zdobyczą. To jego pora. Idzie już pewnie, dumnie zgięty pod jakąś brunatną bestją. Słynny jest ze swej zimnej krwi, zuchwalstwa i miażdżącej pewności swych piorunnych ciosów...

Kupiec ze swą świtą wszedł do lepianki Missułowa. Wytrawnem okiem przejrzał skóry, wiszące rzędem na kołkach z drzewa. Samowar szumiał kusząco w oczekiwaniu pana, a zadumana Natasza rozmyślała nad młodym i rasowym „inteligentem", o przeszłości pełnej wspomnień i marzeń, wiodącym dziś samotne życie jaskiniowca.

Nagle wyprostowała się jak struna na daleki odgłos żałosnego szczekania. Wasyl już był na progu. Nawpół rozpłatany pies wlókł się po śniegu. Ostremi i przenikliwemi gwizdkami rzucono popłoch wśród lepianek. Garstka traperów wyłoniła się ze śnieżnej połaci, pędząc na ratunek wraz ze swymi psami.

Znaleziono Missułowa, zemdlonego, zmasakrowanego i nawpół zmarzłego obok olbrzymiego niedźwiedzia z kindżałem w boku.

Ostrze na ten raz nie dosięgło za pierwszem uderzeniem śmiercionośnego miejsca.

Zabrano Missułowa do jego lepianki. Nim wrócił do przytomności, kupiec odjechał, dokonawszy tranzakcji na rzecz rannego z Wasylem.

Missułow długo oglądał się wokoło:

— Odeszła...? — spytał.

Nikt się nie odezwał.

Wówczas zuchwały ten strzelec, nie wahający się nigdy stanąć oko w oko śmierci, zapłakał rzewnemi łzami dziecka.

Około północy drzwi lepianki zatrzęsły się od gwałtownych uderzeń pięścią i alarmującego krzyku. Wasyl otworzył. Jakaś kobieta wtargnęła do lepianki wraz z bladym promieniem księżyca i rozpylonym w wichrze śniegiem. Z oddali dochodzi odgłos strzałów.

Zbiegła Natasza, ścigana przez eskortę kupca Lichtikahna stała w lepiance Missułowa.

Była odtąd pod opieką klanu. Dzięki jej troskliwej pieczy Missułow wrócił do zdrowia. Ona tchnęła życie w degorywające niemal serce. Był to jednak już tylko cień dawnego człowieka, o sile zgruchotanej pazurami olbrzyma wśród niedźwiedzi syberyjskich.

— A Wasyl? — zapytałem.

— To ja — odparł opowiadający.

Tłum. Jotsaw.

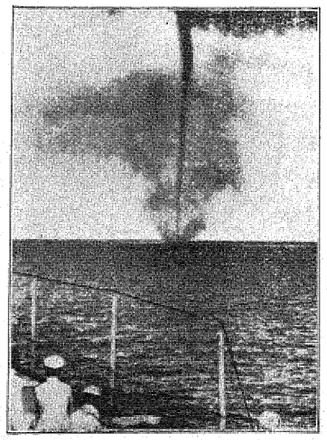

Orkan się zbliża.

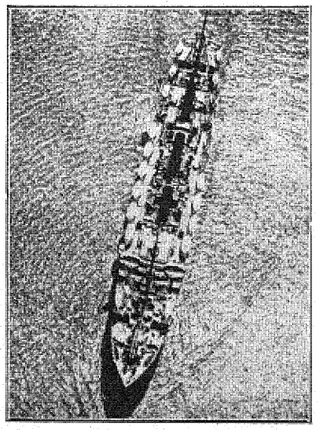

Olbrzym morski odfotografowany z lota ptaka.

Redaktor **Klemens Orchulski.** Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO"

Rok V. Niedziela, dnia 21 października 1928 r. № 43.

Strajk powszechny w Łodzi.

Zmilkły smętne melodje rozstukanych wrzecion, ścichł dziki jazz-band stalowych tłoków maszyn i opustoszały olbrzymie hale warsztatów fabrycznych. Strajk, to ponure widmo ostateczności, zmusił robotników do porzucenia pracy. Zaludniły się natomiast podwórza fabryczne strajkującymi robotnikami.

Powyżej widzimy tłum robotników strajkujących, zebrany na dziedzińcu jednej z fabryk w Łodzi, uczestniczących w t. zw. „masówkach". Fot. A. Meyer.

TEATRALJA.

„Wanda" — Norwida. — Teatr w salach Redutowych. — Współczesny teatr niemiecki.

Warszawa zyskała w tych dniach nową placówkę teatralną, o znaczeniu poważnem, o zakroju popularnym, w postaci teatru „Placówki Żywego Słowa", pod dyrekcją pp.: Szpakiewicza i Górskiej. Impreza teatralna dyr. Szpakiewicza dała się poznać w sezonie ubiegłym Łodzi ze strony najlepszej, pozostawiając wśród naszej publiczności wrażenie głębokie wraz z przeświadczeniem o pożyteczności i doniosłości poczynań artystycznych zespołu. Obecnie zespół ten osiadł na stałe w nowowybudowanym gmachu warszawskiego Zw. Zawodowego Pracowników Kolejowych, zajmując dla swych występów miłą i estetyczną salkę teatralną Domu Kolejarzy.

Zespół dyr. Szpakiewicza, zamierzając pójść po linji popularności, a stroniąc od — wulgarności, uderzył odrazu w górny ton i wystawił na przedstawieniu inauguracyjnem niegraną nigdzie, bardzo mało znaną, „Wandę" Norwida. Norwidowski warjant znanej legendy różni się mocno od wszystkich innych; mamy tu bowiem do czynienia nie z dramatycznym konfliktem pomiędzy głosem krwi, a plemienną świadomością, nie z problematem ofiary i odkupienia, lecz z bardzo ludzką tragedją osamotnienia, tragedją „sierocta na wyżynach królewskiego tronu", jak trafnie zadefinjował jeden ze sprawozdawców warszawskich. Dramat Norwida jest dramatem nawskroś psychologicznym, bez względu na szaty mitologji i ludowości, w które go przybrano. Dlatego też interpretacja „Wandy" przez zespół „Żywego Słowa" nie była przedsięwzięciem dość fortunnem, gdyż muzyka i recytacja chóralna, grające tak doniosłą rolę w widowiskach „Placówki", w danym wypadku naogół chybiają celu i nie harmonizują w pożądanym stopniu z założeniami artystycznemi utworu.

Bądź co bądź zespół dyr. Szpakiewicza dokonał eksperymentu nadzwyczaj interesującego, osiągając — w granicach posiadanych możliwości ekspresyjnych — maksimum powodzenia. A pierwszą i najważniejszą bodaj w tym przypadku zasługą zespołu jest przypomnienie Polsce imienia Norwida i zbliżenie szerokich warstw publiczności (do nich bowiem idzie z żywem słowem „Placówka") do zapomnianej naogół, niestety, spuścizny twórcy „Promethidiona". Imprezie dyr. Szpakiewicza, posiadającej, co już mieliśmy możność podkreślać, ogromne znaczenie wychowawcze, ślemy gorące życzenia artystycznych i kasowych sukcesów.

Jeszcze przed wakacjami wspominaliśmy o projekcie dyrekcji warszawskich teatrów miejskich co do założenia w Salach Redutowych nowego teatru o charakterze kameralno - eksperymentalnym. Obecnie myśl ta wkracza na tory realizacji, a zainterpelowany w tej sprawie dyrektor Zawistowski, podzielił się z prasą następującemi informacjami: Powstanie nowego teatru w Salach Redutowych jest faktem dokonanym. Już wre praca nad wybudowaniem sceny i widowni oraz założeniem instalacji elektrycznej. Odbywają się też próby i to z trzech sztuk jednocześnie, zaś otwarcie teatru nastąpi w połowie listopada. Na inaugurację pójdzie sztuka A. Rybickiego „Okno" w reżyserji Zelwerowicza; dalej „Wypoczynek dnia siódmego" Claudela z J. Szymańskim w roli głównej, a następnie jedna z nowości oryginalnych, której tytuł zachowuje dyrektor Zawistowski narazie w tajemnicy. W dalszych projektach leży wystawienie sztuk O'Neilla, Cocteau, Pirandella, wogóle zaś nowy teatr ma służyć literaturze najnowszej, któraby dawała szerokie pole do popisu reżyserom i aktorom w zakresie nowoczesnych form teatralnych. Teatr w Salach Redutowych ma być oddany całkowicie nowoczesnym utworom literackim polskim i cudzoziemskim

Statua Chrystusa Pana od dawien dawna, stojąca na Starym Rynku w Olsztynie, będąca jedyną już dzisiaj pamiątką polskości na Warmji. Na cokole widnieje napis „Idź za mną" w języku polskim.

Prezydent m. Kalisza, p. Szaras, otwiera strzelanie królewskie oddaniem pierwszego strzału honorowego na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Konieczność powstania takiego teatru, jak podkreślił dyr. Zawistowski, była tem bardziej nagląca, że w ostatnich kilku latach bardzo dobitnie zaznaczyła się izolacja teatrów warszawskich od literackich prądów Zachodu co a la longue mogłoby mieć nieobliczalne skutki dla kultury literackiej i teatralnej w Polsce. Nowy teatr nie będzie się obawiał najbardziej śmiałych nowoczesnych form literackich. Nie będzie to wszakże jedyną jego ambicja, czyli że nie musi to być np. teatr antyrealistyczny, przeciwnie, neo-realizm również będzie w nim reprezentowany. Po tych bardzo obiecujących zapowiedziach wypada jedynie czekać na ich pomyślne urzeczywistnienie.

W dalszym ciągu swych ciekawych uwag o teatrze współczesnym, drukowanych w jednem z czasopism warszawskich, znany krytyk, p. Emil Breiter pisze o teatrze niemieckim, dając w skrócie ostatnie etapy i zwrotne punkty jego rozwoju. Po przewrocie politycznym w r. 1918, zasadnicze koncepcje teatru niemieckiego, który oddawna był instytucją opartą na bardzo szerokiej podstawie społecznej — przesunęły się dość wyraźnie na lewo, w kierunku scenicznego radykalizmu. Reinhardt okazał się zbyt konserwatywny; na jego miejsce wstąpił — Jessner, którego inscenizacje „Wilhelma Tella", „Ryszarda III" i inne, wysunęły na pierwszy plan zagadnienia teatru ekspresjonistycznego, w charakterze protestu przeciwko wybujałościom naturalizmu Reinhardta. Najdalej w kierunku nowatorstwa pomechanizacji teatru z krzykliwą propagandą rewolucyjną. Przeciwko krańcowości Piscatora obudziła się wszakże wkrótce zdrowa reakcja nawet ze strony najmłodszych krytyków i twórców teatralnych (Ihering, Grossmann i t.d.), a co najciekawsze, że przeciwko zbyt brutalnym zapędom nowatorskim Piscatora wypowiedział się ostatnio nawet — Meyerhold, będący źródłem wielu natchnień i pomysłów Piscatora. Zrozumiano w Niemczech powszechnie, że — „teatr nie może być tylko trybuna agitacyjną, lub technicznym eksperymentem..."

Delta.

—:o:—

W ubiegłym miesiącu nastąpiło zakończenie kursu nauczycielskiego w Polskim Związku Nauczycieli w Łodzi. Na zdjęciu absolwenci i absolwentki kursu z władzami szkolnemi na czele.

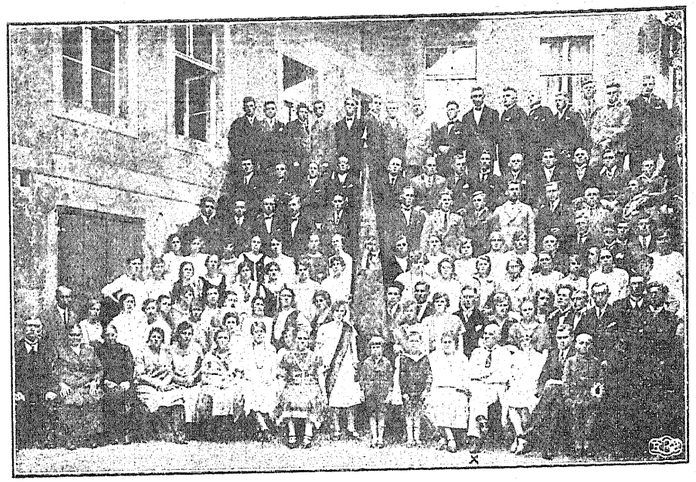

W dniu 4 sierpnia r. b. odbył się w Olsztynie zjazd delegatów Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej ze Wschodnich Prus. Powyżej uczestnicy zjazdu z posłem na sejm pruski, p. Baczewskim (X) na czele.

W dniu 7 b. m. odbyła się w Łodzi, przy ul. Narutowicza, podniosła uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, położonego pod budowę nowego gmachu Sądu Okręgowego. W uroczystości wziął udział, między innymi, minister sprawiedliwości p. Meysztowicz, którego widzimy powyżej.

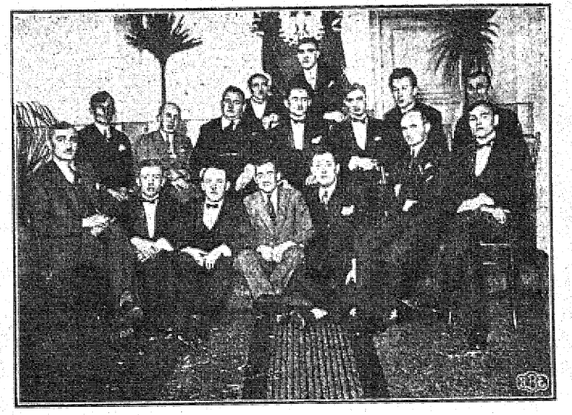

Grupa sekretarzy Sądu Grodzkiego w Łodzi. Fot. A. Meyer.

Film produkcji polskiej p. n. „Przedwiośnie" St. Żeromskiego w realizacji p. Szaro. P. Bolesław Mierzejewski jako Hipolit Wielosławski i p. Marcella Polińska jako jego matka.

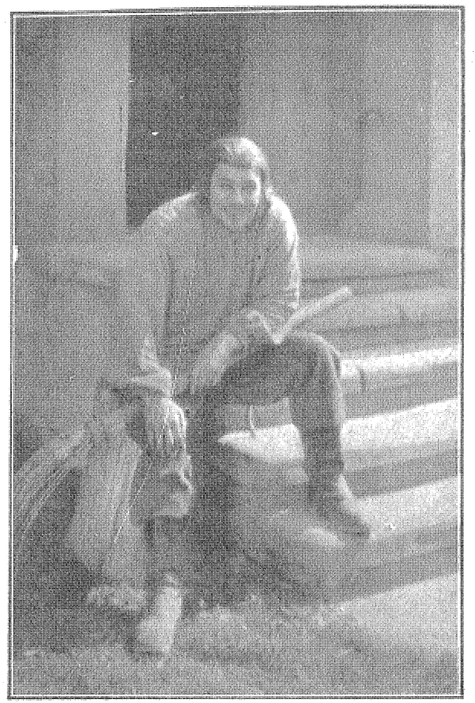

Najświetniejsza kreacja mistrza maski, Lon Chaney'a, w filmie „Tragedja białej gwardji".

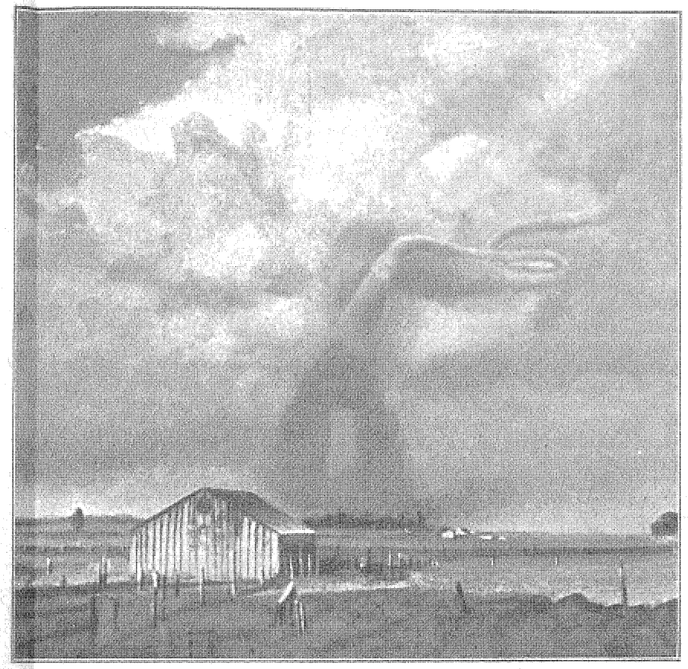

Tornado w Meksyku. Gigantycznych rozmiarów spiralna trąba powietrzna której niezwykła siła zamienia wniwecz wszystko, cokolwiek napotyka na drodze swego niszczycielskiego biegu.

Ceniona artystka teatrów warszawskich, p. M. Gorczyńska w roli Laury w filmie polskim „Przedwiośnie" St. Żeromskiego.

Efektowna scena z filmu „Hazard", który zabłyśnie wkrótce na ekranach polskich.

Królowa ekranu polskiego, Jadwiga Smosarska i jej partner, Jerzy Marr, w najnowszym filmie krajowej produkcji p. n.: „Tajemnica starego rodu".

Utalentowana artystka scen warszawskich p. Broniszówna.

Ś. p. Kazimierz Kamiński, mistrz sceny polskiej, którego zgon okrył żałobą całą Polskę.

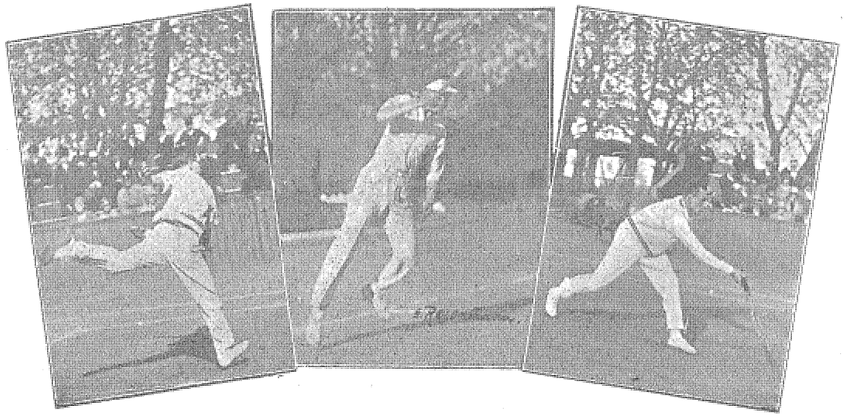

Nasi reprezentanci w tennisie: M. Stolarow, P. Warmiński i J. Stolarow.

Pierwsza polska drużyna reprezentacyjna gry „Hazena" P. I. W. F.

P. Prezydent Rzplitej przy stole obozowym na zlocie harcerek w Wyszkowie.

Znakomity poeta, p. Kazimierz Wierzyński, piewca „Lauru Olimpijskiego".

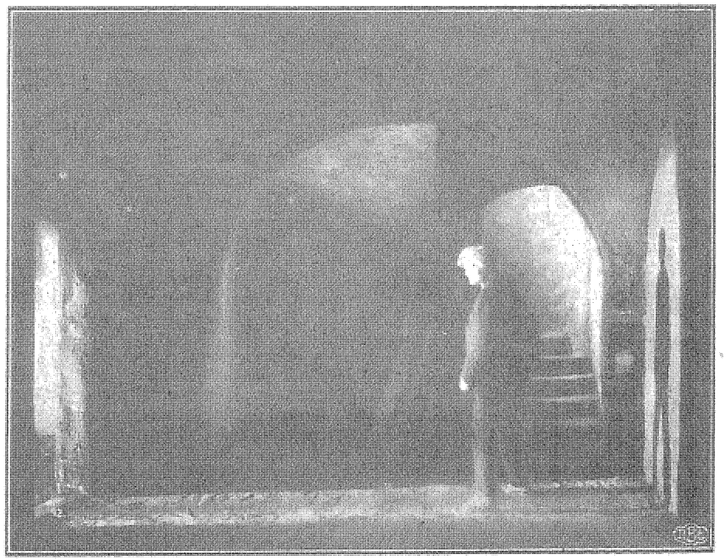

B. Goetzke stworzył demoniczną kreację w filmie p. t. „Zemsta losu" („Człowiek bez sumienia"). Potężnny ten film wyświetla obecnie kino „Capitol".

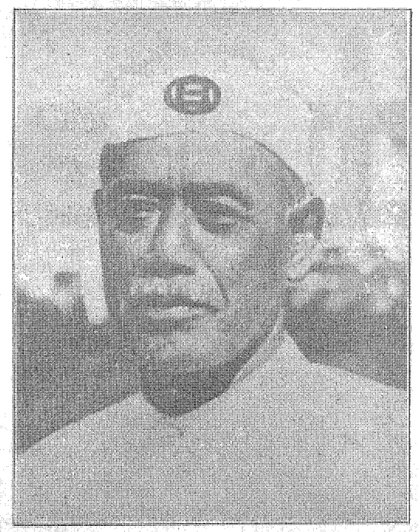

Japończyk Hibino, uczestnik biegu amatorskiego na olimpjadzie amsterdamskiej. P. Hibino liczy sobie lat 62.

Najlepsza drużyna konnej policji w Łodzi po powrocie z zawodów policyjnych w Warszawie. Fot. A. Meyer.

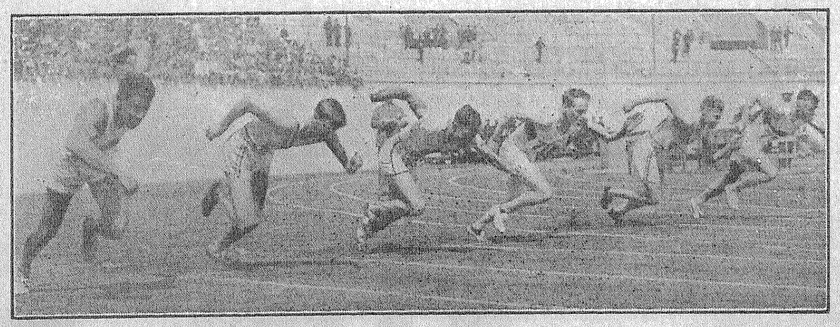

Start jednego z przedbiegów „Setki" na olimpjadzie.

ANDRE LAMANDE.

Nawyk.

— Skoro jesteście z Ascain, musicie znać Sorreguita? — indagował garsona Gilbert Perez, kończąc swą kawę, na tarasie hotelu.

— Ma się rozumieć, że go znam. To mój kuzyn.

— A Jose Carruburu?

— Żyje zawsze z kontrabandy i upija się w niedzielę na cały tydzień.

— Znałem prócz nich w Ascain Piotra Loti'ego, Othare'go i wiele innych jeszcze osób. Pamiętam również, że do ogrodu Carruburu przylegał ogród....

— Należący do....

— Ach, zamilcz proszę! Zbyt wiele szczęścia pogrzebałem w nim nazawsze. Od dwudziestu lat nie byłem w tych okolicach, a i dziś jestem tu w przelocie. Wspomnienia mnie nagle opadły, ale nie mam czasu zajrzeć do Ascain...

— Ależ właścicielka ogrodu, o której pan wspomniał, bawi teraz tutaj, w naszym hotelu. Siedzi w tej chwili na drugim końcu tarasu. Nazywa się M-lle Etcheverria!

Na dźwięk tego nazwiska Perez zachwiał się, jak maszt okrętowy. Balustrada, morze, Pireneje w fioletach, wszystko wokoło tańczyło mu w oczach, podczas gdy M-lle Etcheverria, dosłyszawszy półgłosem wyszeptane swoje imię, z lekkim uśmiechem zdziwienia, stanęła przed nim.

Myśl, że nie został poznany uspokoiła go nieco. Ale młoda kobieta, po kilku chwilach milczenia, otwierając szeroko oczy, zawołała radośnie:

— Ach, to ty, Gilbercie? To ty? Jakże jestem szczęśliwa!

Mówiąc te słowa, podała mu rękę tak naturalnie, jak gdyby się wczoraj rozstali i żaden ból ich nie był rozdzielił.

Wziął jej dłoń i pochylając się nad twarzą jej, promieniejącą niespodzianą radością, ze zdumieniem stwierdził, że się nic a nic nie zmieniła.

— Marja-Teresa! Marja-Teresa! — wyszeptał olśniony.

— Nie, nie! — odparła. — Nazywaj mnie Mathe, jak dawniej!

Usiedli obok siebie, niezdolni do rozmowy ze wzruszenia. Od czasu do czasu, kiedy milczenie zbyt im ciążyło, przerywali je, wymawiając każde imię drugiego, co im sprawiało radość niezmierną.

— Moje serce oczekiwało cię, Gilbercie! — odezwała się ona później nieco — to spotkanie — po pierwszej chwili oszołomienia, wydaje mi się zupełnie naturalne.

— Jesteś zawsze ta sama, Mathe! Odnajduję cię taką, jaką cię opuściłem przed dwudziestu właśnie laty w ogrodzie pełnym róż. Tyś nie postarzała!

— To prawda — odparła bez cienia kokieterji — moje życie stanęło, jak zegar, którego wahadło zostało tracone, owego ranka, kiedyś odjechał. Od tej pory żyłam, jak skąpiec złotemi wspomnieniami tej jesieni, w której zaznaliśmy szczęścia. Zapas był już na wyczerpaniu. Ale oto, jesteś wreszcie....!

— Twoja matka...

— Umarła przed piętnastu laty — szepnęła Mathe, spuszczając nisko głowę; matka jej bowiem przerwała pasmo ich szczęścia; przez nią zranili się wzajem boleśnie!

— Jesteś... sama, Mathe? Wolna...?

— Tak. W ciągu dwudziestu lat żyłam w oczekiwaniu dzisiejszego dnia.

Zamilkli oboje. Gilbert rozpamiętywał w duchu grzeszne swoje życie od chwili zerwania z Mathe: nawiązanie stosunku ze słynną aktorką i wyjazd z nią do Ameryki Południowej.

— A ty, Gilbercie, czy jesteś wolny? — zagadnęła go Mathe zkolei — owa kobieta...?

— Litości, Mathe! — przerwał jej gorąco — nie wspominaj o tym szale, odpokutowanym tak ciężko! Ciebie jedną kochałem i kocham....! Ale...

Wielki smutek odbił się na jego twarzy, którą ukrył w swych dłoniach.

— Gilbercie! Gilbercie! — zawołała Mathe wylękła — powiedz mi prawdę: nie jesteś wolny? Ale to nic! Ja ci pomogę zwalczyć wszelkie przeszkody i życie twoje w jedno pasmo szczęścia zamienię...

— Mathe — odparł z głębokim smutkiem tuląc do siebie ukochaną kobietę, którą odnalazł poto, aby ją znowu utracić za chwilę — niema już miejsca dla szczęścia w mojem życiu. Oto niezmienny regulamin dni moich: o szóstej z rana na nogach. Gimnastyka, prysznic, kawa czarna. O ósmej odjazd do mego banku. Do dwunastej sprawy bieżące: korespondencja do przejrzenia, inspekcje, dyktando listów, telefony, interesanci... O wpół do pierwszej śniadanie.

— Co mnie to wszystko obchodzi? — przerwała mu Mathe — nie igraj z naszem uczuciem! Domyślam się: jesteś żonaty....!

Odpowiedział jej łagodnie, lecz z nieugiętą stanowczością w głosie:

— Nie, nie jestem żonaty. Ale słuchaj mnie dalej. Od dziesięciu lat jadam śniadanie w tej samej restauracji, przy tym samym stole, w tem samem otoczeniu. O godzinie pierwszej czarna kawa u Pommes. Jest to bar. Tam pijam kawę, nie gdzie indziej. O drugiej bank: znowu interesy, giełda, kupno, sprzedaż, asygnaty — jak maszyna aż do wieczora. O szóstej bilard. W ciągu dziesięciu lat nie opuściłem dwudziestu nawet wieczorów. Idę na bilard, jak inni na kieliszek. O ósmej obiad. Przyjaciele, interesy, bridge, coctail. O dziesiątej wreszcie...

— Gilbercie — wtrąciła Mathe z rozpaczą w głosie — po co te wykręty? Masz kochankę?

— Tak — odparł, poczem wobec przygnębiającego milczenia Mathe, ciągnął dalej:

— O dziesiątej zatem wracam do domu. Stara fajka, pantofle, ziółko, rytmiczne ruchy, sen. Od lat nie zmieniam tego porządku dnia.

— Gilbercie, Gilbercie! Nie dręcz mnie. Powiedz mi: tej kobiety, tej kochanki nie możesz oddalić, dać jej do zrozumienia...

— Nie przypuszczam.

— Bardzo dawny stosunek zatem?...

— Tak jest, bardzo dawny.

— Kochasz ją?

— Mathe! Mathe, moja najdroższa — odparł Gilbert z bezdennym smutkiem w głosie. — Ciebie kocham i innej kobiety nie kochałem w życiu. Czyż nie widzisz jednak, że dzieli nas despotyczna, bezlitosna kochanka, która nie wypuści mnie ze swych szponów, aż do dnia mojej śmierci....

— Kto ona, Gilbercie?

— Nawyk, Mathe — odrzekł upokorzony, spuszczając nisko głowę. — Moje życie składa się z nieprzerwanego łańcucha mechanicznych, skoordynowanych ruchów warunkujących sprężystość moich codziennych czynów i podtrzymujących mnie, jak kule kalekę. Bez nich byłbym zużytym, zrujnowanym człowiekiem. Nie jestem na tyle nikczemny, Mathe, aby ofiarować ci siebie wzamian za twoją nieskażoną miłość, za nieskalaną świeżość twej duszy!

Przez oblicze tego kochającego mężczyzny, ale niewolnika codziennych swych egoistycznych nawyknień, przebiegł kurcz nerwowy i dwie łzy stoczyły się po policzkach.

Skamieniała twarz Mathe postarzała się nagle o lat dwadzieścia.

Tłum. Jotsaw.

——(:o:)——

Kazimierz Worch, po świetnych sukcesach śpiewaczych za Oceanem, powrócił do ojczyzny.

Redaktor **Klemens Orchulski.** Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO"

Rok V. Niedziela, dnia 28 października 1928 r. № 44.

Strach ma wielkie oczy. Piękna pani w obawie przed.... myszką.